

## **Tomasz Kizwalter: Czy historia jest nauką użyteczną społecznie?**

Jedną z przyczyn napięcia – a czasem konfliktu – między polityką a nauką jest to, że pierwsza wspiera się na poczuciu pewności, druga zaś karmi się – a w każdym razie powinna się karmić – wątpliwościami. To oczywiście pewne uproszczenie: wiadomo, że skuteczne uprawianie polityki wymaga racjonalnej analizy, która musi brać pod uwagę wątpliwości; w świecie nauki natomiast nie brak przypadków dogmatyzmu i zachowawczości. Niemniej fundamentem postawy naukowej musi być zasada kwestionowania tego, co zostało wcześniej ustalone – pisze Tomasz Kizwalter w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Halecki. Ambasador Europy Środkowej”.

Pytanie o społeczną użyteczność historii – czy też w ogólności humanistyki – może wydawać się mało oryginalne i niezbyt owocne. Pytanie takie zadawano niezliczoną ilość razy, a odpowiedzi, jakie padały, budziły z reguły wątpliwości. Już na pierwszy rzut oka widać, że społeczna użyteczność historii – jeśli można o niej mówić – musi być innego rodzaju niż użyteczność nauk przyrodniczych, technicznych i medycyny, a także takich nauk społecznych jak ekonomia i prawo. Krótko mówiąc, mniej bezpośrednia, mniej konkretna i praktyczna. A zatem ulotna, może dodać sceptyk. Tak ulotna, że właściwie nieistniejąca. Historycy, znużeni przebywaniem w cieniu przykrego podejrzenia o bezużyteczność, przestają czasem odwoływać się do takich czy innych praktycznych korzyści, które mają wynikać z uprawiania historii, i argumentują, że naukowe poznanie ma wartość

samoistną, niezależną od możliwości jego praktycznego wykorzystania. Argument ten trudno odrzucić, ponieważ ludzkość od zarania dziejów ceniła to, co uznawała za wiedzę, a w dobie nowoczesności dominuje przekonanie, że prawdziwą wiedzą jest wiedza naukowa (zostawiam tu na boku to, że z punktu widzenia fizyka naukowość poznania, do jakiego zdolni są historycy, ma wątpliwy charakter). Ale trudno też poprzestać na tezie o wartości bezinteresownego poznania. Uznanie dla wiedzy naukowej nie oznacza wcale, że powszechnie akceptuje się opinię, iż z wiedzy tej nie muszą wypływać konkretne korzyści. Przeciwnie, powszechne jest przekonanie, że wiedza naukowa powinna mieć praktyczne zastosowania.

*Z punktu widzenia fizyka naukowość poznania, do jakiego zdolni są historycy, ma wątpliwy charakter*

Trzeba powiedzieć, że w porównaniu z epokami dawnymi położenie historyków pogorszyło się w XX wieku i – jak można

sądzić – pogarsza się nadal. W kulturze dawnych europejskich warstw wyedukowanych zasadniczą rolę odgrywało przeświadczenie, które najzwęźlej wyraził Cynceron: *historia magistra vitae*. „Historia nauczycielką życia”, bo ze znajomości tego, co minione, jest się w stanie wyciągać przydatne aktualnie wnioski. Z takim nastawieniem historycy mogli pisać swe dzieła jeszcze w wieku XIX, ale wtedy właśnie pojawiły się zjawiska mające podważyć wiarę w przydatność nauk czerpanych z przeszłości. Nauki takie mogły być przydatne w świecie, którego kulturowe i społeczne fundamenty wydawały się niezmiennie. W warunkach Wielkiej Transformacji, którą zapowiadały brytyjska

industrializacja i francuska rewolucja polityczno-społeczna, pojawiło się i narastało poczucie, że świat zmienia się tak szybko i tak dogłębnie, iż doświadczenia minionych pokoleń tracą swą użyteczność.

*W porównaniu z epokami  
dawnymi położenie  
historyków pogorszyło się w  
XX wieku i – jak można sądzić  
– pogarsza się nadal*

Nie oznaczało to oczywiście, że nowoczesność wyrugowała wiedzę o przeszłości z ludzkiego życia. Z jednej strony, słabnięcie

przekonania, że przeszłość zawiera bogaty zasób rozmaitych nauk życiowych było procesem powolnym, z drugiej – rozpad tradycyjnych struktur społecznych i formowanie się struktur nowoczesnych otwierały przed historią nowe perspektywy. Okazywało się, że historia, konstytuująca się w XIX wieku jako jedna z uniwersyteckich dyscyplin naukowych, ma niemałe znaczenie polityczne. Początkowo na plan pierwszy wysuwały się obawy konserwatywnych elit państwowych, że zapoznawanie się z dziejami ludzkości może demoralizująco wpływać na młodzież, rozbudzając w niej skłonność do politycznego radykalizmu. W końcu narracje historyczne obfitowały w opisy wszelkiego rodzaju przejawów przeciwstawiania się władzy: spisków, buntów, powstań, obalania władców i królobójstwa. W pierwszej połowie XIX wieku historia bywała zatem politycznie podejrzana. W drugiej połowie tamtego stulecia sytuacja zaczęła się jednak zmieniać. Władze państwowe doceniły stabilizujące politycznie oddziaływanie odpowiednich ujęć przeszłości: takich jej obrazów, które budowały prestiż i autorytet rządzących, wskazując, że są oni dziedzicami

chwalebnych dziejów państwa. W miarę rozbudowy szkolnictwa historia ad usum Delphini stawała się jednym z instrumentów wczesnego kształtowania ludzkich postaw.

*Historia, konstytuująca się w XIX wieku jako jedna z uniwersyteckich dyscyplin naukowych, ma niemałe znaczenie polityczne*

Pod koniec XIX wieku historia państwowotwórcza miała już na ogół charakter narodowy. Idee narodowe, w pierwszej połowie stulecia uważane za

wywrotowe, z upływem czasu zostały zaakceptowane przez rządzące elity, które mogły twierdzić, że reprezentują interes narodu dominującego w danym państwie. Unaradawianie państwa sprawiało zaś, że historyczny wymiar państwowości nabierał jeszcze większego znaczenia. Projekt narodowy, koncepcja nowoczesna, zakłada tworzenie wspólnoty przewyższającej tradycyjne podziały społeczne i różnice kulturowe, ale zarazem mocno zakorzenionej w przeszłości. Dzieje narodu mają ukazywać jego tożsamość i świadczyć o wartości tej wspólnoty. Naród jest tu podmiotem dziejów.

Nie ulega wątpliwości, że w rozpatrywanej teraz sferze spraw państwowo-narodowych historia była i jest użyteczna. Tego rodzaju użyteczność ma jednak charakter kłopotliwy – przynajmniej z punktu widzenia tych, którzy chcieliby, aby historia była nauką. Polityczny użytek, jaki robiono i robi się z wiedzy o przeszłości dostarcza wielu argumentów zwolennikom tezy, że historia – choć aspiruje do statusu nauki – nauką nie jest.

*Cóż za ponura narracja! Czy społeczna użyteczność historii ma polegać na zaspokajaniu potrzeb politycznych?*

Argumenty, jakie przytaczają krytycy naukowości historii, w znacznej części czerpią swoje uzasadnienie z doświadczeń

wywodzących się spoza pola standardowej, by tak rzec, aktywności współczesnego państwa europejskiego. Ideał państwa narodowego, jaki ukształtował się w Europie na przełomie XIX i XX wieku, uległ w ostatnich dziesięcioleciach zmianom, zmieniły się też związane z nim narodowe historiografie. Nie zanikły jednak i zapewne nie mogły zaniknąć polityczne uwarunkowania badań historycznych i upowszechniania ich wyników. W warunkach demokracji liberalnej słabnie w tej dziedzinie instytucjonalne oddziaływanie państwa, ale nasz kontynent ma za sobą doświadczenia epoki reżimów autorytarnych i totalitarnych. Trudno wyobrazić sobie, aby kwestia obrazu przeszłości stała się kiedykolwiek obojętna dla elit politycznych – zarówno tych, które sprawują władzę, jak i tych, które o nią zabiegają. Czasy totalitaryzmów pokazały jednak, co dzieje się, gdy wsparta przemocą ideologia przywłaszczy sobie przeszłość. Każda z ideologicznych orientacji powstałych w dobie nowoczesności tworzyła zgodną z własnymi potrzebami, mniej czy bardziej rozwiniętą wizję dziejów. Wyróżnił się pod tym względem marksizm, do którego istoty należało historyczne ujmowanie życia społecznego. Badawcze walory niektórych koncepcji Marksa przytłumił wszakże ideologiczny dogmatyzm całości Marksowskiego systemu, mający doprowadzić sowiecką historiografię epoki Stalina do zupełnej ruiny.

Czytelnik mojego tekstu może w tej chwili powiedzieć: cóż za ponura narracja! Czy społeczna użyteczność historii ma polegać na zaspokajaniu potrzeb politycznych? Odpowiem: tak, na tym polega w znacznej mierze – chociaż nie wyłącznie – społeczna użyteczność historii. Czy nam się to podoba, czy nie, historia nie stanie się politycznie neutralna, podobnie zresztą jak inne nauki humanistyczne. Najkrócej mówiąc, w przypadku humanistyki, człowiek, istota polityczna, bada sam siebie i tworzony przez siebie świat. Nie ma tu ucieczki od polityczności.

Poprzestanie na takim wniosku oznaczałoby jednak zgodę na abdykację historii jako nauki. W takim stanie rzeczy historia byłaby niewątpliwie użyteczna społecznie jako plastyczne narzędzie, którym posługiwaliby się rzecznicy rządu i opozycji, konserwatyści i liberałowie, nacjoniści i socjaliści oraz przedstawiciele innych, najrozmaitszych środowisk uczestniczących w życiu politycznym. Nie trzeba szczególnej spostrzegawczości, aby stwierdzić, że tak właśnie bywa w świecie, który nas otacza. Było tak, odkąd istnieje ludzka wiedza o przeszłości. Mimo to historia ukształtowała się jako nauka, za swój ideał przyjmując nieuleganie pozanaukowemu wpływom. Pełna realizacja tego ideału wydaje się niemożliwa, dążenie do niego jest jednak nieodzownym warunkiem utrzymania naukowego statusu historii.

Jedną z przyczyn napięcia – a czasem konfliktu – między polityką a nauką jest to, że pierwsza wspiera się na poczuciu pewności, druga zaś karmi się – a w każdym razie powinna się karmić – wątpliwościami. To oczywiście pewne uproszczenie: wiadomo, że skuteczne uprawianie polityki wymaga racjonalnej analizy, która musi brać pod uwagę wątpliwości; w świecie nauki natomiast nie brak przypadków

*Polityczne wizje przeszłości i jej potoczne wyobrażenia przybierają najczęściej postać zastygłych stereotypów*

dogmatyzmu i zachowawczości. Niemniej fundamentem postawy naukowej musi być zasada kwestionowania tego, co zostało

wcześniej ustalone. Można tę zasadę wcielać w życie w sposób pozostawiający wiele do życzenia, jeśli jednak zanika ona zupełnie, znika też nauka. Z kolei punktem wyjścia działania politycznego może być nawet radykalna krytyka istniejącego stanu rzeczy, ale raz przyjęte kierunki i sposoby działania rewiduje się na ogół niechętnie. Polityka pozbawiona wątpliwości pozostaje polityką.

Nauka, ze swą skłonnością do wątpienia i krytycyzmu, daje jednak szansę pewnego rozluźnienia gorsetu społecznych uwarunkowań poznawczych. Polityczne wizje przeszłości i jej potoczne wyobrażenia przybierają najczęściej postać zastygłych stereotypów. Ich rewidowanie powinno stanowić główną społeczną funkcję historii, jeśli chce być ona nauką, z której wynikają praktyczne korzyści.

Osobiście zgadzam się z niezbyt popularną tezą, że poznanie naukowe samo w sobie, niezależnie od swoich praktycznych zastosowań, staje się użyteczne społecznie. Na sposób oświeceniowy sędzę, że autentyczna wiedza czyni człowieka lepszym. Ale istnieje jeszcze jeden rodzaj społecznej użyteczności historii jako nauki, związany z pewnym moralnym zobowiązaniem. Dzieje ludzi żyjących przed nami powinniśmy rozpatrywać tak rzetelnie, jak to tylko możliwe. Zapewne większość z nas chciałaby, aby nasi następcy starali się dowiedzieć, jacy

*Historycy, znużeni  
przebywaniem w cieniu  
przykrego podejrzenia o  
bezużyteczność, przestają  
odwoływać się do  
praktycznych korzyści, które  
mają wynikać z uprawiania  
historii*

„w istocie” byliśmy.  
A jeśli chcemy być  
kiedyś traktowani  
poważnie, traktujmy  
tak naszych  
poprzedników. Tak  
postawa jest moim  
zdaniem społecznie  
użyteczna, choć  
zapewne nie  
przynosi  
wymiernych  
korzyści.

*Tomasz Kizwalter*

*Publikujemy skrócony tekst wykładu wygłoszonego 4 października  
2021 r. podczas inauguracji roku akademickiego na Wydziale Historii  
UW.*

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa  
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---

MW